

Niepoprawne politycznie uwagi o naukach społecznych¹

Andrzej M. Zawiślak

Autor artykułu stawia i rozwija tezę o impotencji nauk społecznych wobec wyzwani praktyki. Wieloaspektowo analizuje przyczyny takiego stanu rzeczy. Kładzie nacisk na porównanie nauk społecznych z naukami ścisłymi, uwypuklając między innymi negatywne skutki nadużywania przez te pierwsze metod ilościowych.

„Zwierzęta żyją w świecie wrażeń – nas dręczy potrzeba wyjaśniania”

A. Schopenhauer

„Wszelka, mój bracie, teoria jest szara, zielone zaś życia drzewo złote!”²

W.J. Goethe

Przed kilkoma laty po Harvardzie krążyła opowieść o tym, jak to pewien hinduski visiting profesor ekonomii nagabywany przez studentów, aby wyjaśnić im pojęcie reinkarnacji, stwierdził krótko: *jeżeli za życia byłeś dobrym ekonomistą, po śmierci odrodzisz się jako fizyk; jeśli byłeś ekonomistą kiepskim, w swoim nowym wcieleniu objawisz się jako socjolog, gdybyś był jednak ekonomistą fatalnym – w swoje nowe życie wkroczysz jako politolog.*

Z przypowieści tej można wyprowadzić rozmaite wnioski, ale zostawiam to inwencji czytelnika. Sam chciałbym bowiem zająć się zagadnieniem bardziej pasjonującym. A mianowicie rozpaczliwą wręcz niemożnością stosowania nauk społecznych wszędzie tam, gdzie zgłaszane są wobec nich konkretne oczekiwania. Aby nie bawić się w wyliczanki kolejnych klęsk, jakie te nauki ponosiły wszędzie tam, gdzie społeczeństwo – najczęściej za pośrednictwem rozmaitych instytucji – zgłaszało się po pomoc, spróbujmy znaleźć jedyny bodaj przypadek ich spektakularnego sukcesu. Okazuje się jednak, że nawet takie skromne żądanie jest nie do spełnienia. Tym, którzy się nie zgadzają z moją oceną, proponuję: proszę podać chociażby jeden poważny problem, jedną istotną dolegliwość mającą wymiar społeczny, rozwiązaną dzięki teoretycznym ustaleniom dokonany przez zespół naukowców wywodzących się z którejś spośród licznych „szkół” zatrudniających niezliczone rzesze ekonomistów, socjologów, psychologów czy też politologów. Nic takiego nie znajdziemy! Znajdziemy natomiast liczne przykłady na swoistą kontrskuteczność tych nauk, kiedy ich ustalenia mają służyć terapii społecznej.

Nie wchodząc w kwestie przyczyn, można na podstawie nawet potocznej obserwacji stwierdzić, że nie brakuje wyzwań, jakie rzeczywistość zgłasza wobec nauk społecznych. Wyzwań całkowicie uzasadnionych, albowiem wchodzące w ich skład dyscypliny obwieszczają wszem i wobec, że tylko one dysponują autentyczną wiedzą o zjawiskach społecznych, co niekoniecznie ma związek ze stanem faktycznym, ale na pewno może usprawiedliwić otrzymywane od społeczeństwa środki materialne na wszelakie „prace naukowo-badawcze”.

Aby nie być gołosłownym, zasygnalizuję ewidentny przykład impotencji nauk społecznych w obliczu wyzwań praktyki. Powszechnie wiadomo, że we wszystkich państwach zaliczanych do techniczno-cywilizacyjnej czołówki dzisiejszego świata problemem numer jeden jest walka z bezrobociem. Choć jest ona priorytetowym celem deklarowanym przez wszystkie rządy, efekty praktyczne uruchamianych działań były i są raczej mizerne. A dzieje się tak mimo tego, że rządy tych państw korzystają z usług eksperckich naukowców najwyższej miary, często legitymujących się nagrodami Nobla w dziedzinie ekonomii. Niezależnie jednak od pomysłów, jakie ci dostojni luminarze podpowiadają, efekty są nieodmiennie frustrujące. Przypomnijmy fakty. Otóż główne linie podziałów spierających się teoretyków ekonomii – w latach 90. – wynikały ze stosunku uczonych mężów do kwestii regulacyjnych funkcji państwa w obszarze gospodarki. Paleta poglądów wyrażenie zarysowanych zawarta była w trzech opcjach. W różnych też krajach, zwolennicy różnych opcji przebijali się do stanowisk doradców rządowych. Z jaki rezultatem? Zdziwiająco! Okazało się bowiem, że w wyniku całkowicie odmiennych kuracji ordynowanych przez utytułowanych Noblami „lekarzy” zderegulowana gospodarka brytyjska, regulowana gospodarka francuska oraz przeregulowana gospodarka włoska miały taką samą stopę bezrobocia!

Niestety, z tego – bądź co bądź obiektywnego – faktu można wyprowadzić całkowicie różne wnioski. Można więc powiedzieć, że ustalenia ekonomii mają niewiele wspólnego z nauką, skoro nie podlegają zasadzie wyłączonego środka. Zresztą nie tylko zasada wyłączonego środka została tu naruszona; również pragmatyczna reguła W. Jamesa, wedle której „nie może istnieć żadna różnica, która nie pociągałaby różnicy gdzie indziej” (James 2004: 28), sprowadza cały spór uczonych do pustosłowia. **Skoro bowiem trzy różne podejścia do gospodarki nie powodują różnic w rezultatach, to znaczy, że cały spór jest jałowy, a istota sprawy leży w czym innym.**

Oczywiście, mnożą się próby usprawiedliwiającego wyjaśnienia niezgodności ekonomii z pozytywistycznymi oczekiwaniami zgłaszanymi wobec działalności roszcżącej sobie prawo do miana naukowej. Dobrym przykładem może tu być tzw. zasada Goodharta (Cleaver 2002: 136). Wspomniany dżentelmen, będący naukowym doradcą prezesa Bank of England, w wyniku rozległych badań statystycznych udowodnił występowanie bardzo interesującego zjawiska, a mianowicie, że w każdym przypadku, kiedy odkryte zostaną jakieś korelacyjne zależności między zjawiskami ekonomicznymi i – uwaga! – rząd próbuje wykorzystać ich istnienie dla celów polityki gospodarczej, **natychmiast zależności te znikają!** Można to skwitować twierdzeniem, że o ile w naukach przyrodniczych odkrycie

reguły Heisenberga nie wpłynęło na zachowanie się cząstek, to w naukach społecznych każde odkrycie dotyczące społeczeństwa wpływa na zachowania się ludzi.

Konsekwencje takiego zjawiska byłyby fatalne. Oznaczałoby to bowiem, że ontologiczną rację bytu w naukach społecznych miałyby tylko takie prawa dotyczące społeczeństwa, z których nigdy byśmy nie próbowali skorzystać. W wymiarze jednostkowym można to zilustrować sytuacją, w której studenci odkryli pewną prawidłowość w zachowaniu profesora. Na przykład polegającą na tym, że daje się on bardzo łatwo wciągać w dyskusje na temat piłki nożnej. Zaczynają więc eksploatować tę prawidłowość. Oczywiście trwa to do momentu, w którym profesor uświadomi to sobie.

Kolejnym przykładem potwierdzającym związek „czasu obowiązywania odkrytej prawdy” o społeczeństwie z „intensywnością jej eksploatacji” może być zjawisko określone mianem „samoniszczonego się proroctwa”. Okazuje się bowiem, że prognoza trafna w momencie wypowiedziana w wielu sytuacjach wywołuje takie skutki, że staje się fałszywa. Po prostu dla tego, że ci, którym prognoza ta wieści katastrofę, w istotny sposób zmieniają swoje zachowanie i tym samym prognoza staje się chybioną. Można zaryzykować twierdzenie, że marksizm był właśnie takim samoniszczącym się proroctwem.

Oprócz „samoniszczonego proroctwa” istnieje jeszcze jedno zjawisko sprawiające, że obszar penetracji nauk społecznych jest terenem pełnym zasadzek. Otóż wiele wskazuje na to, że np. w ekonomii zadomowiła się swoista odmiana solipsyzmu biskupa Berkeley’a wedle której **esse est percipi** (istnieć, to znaczy być postrzegany). Przybiera ona tu postać prawa, zgodnie którym w ekonomii coś istnieje tylko wtedy, kiedy się w to wierzy; w momencie kiedy powstają wątpliwości to, co istniało – znika. Np. bank jest wypłacalny tak długo, dopóki ci, co ulokowali tam depozyty, wierzą, że jest wypłacalny; w momencie gdy posiadacze lokat zwątpią w jego wypłacalność, wypłacalny nie będzie. Osiedlowy sklep ma wystarczającą ilość zapalek tak długo, jak ludzie wierzą, że zapalniczki są i będą. Ale niech tylko w to zwątpią – natychmiast zapalek zabraknie.

Krótko mówiąc, przedmiot studiów nauk ekonomicznych, tj. gospodarujące społeczeństwo, jest polem, po którym nieustannie hulają niszczące huragany samospełniających się proroctw! A jak wiadomo, są to proroctwa całkowicie fałszywe w momencie ich wypowiedzania, ale wywołujące takie skutki społeczne, że stają się prawdziwymi! Np. rozpuszczenie całkowicie fałszywej prognozy, że planowana inwestycja będzie nierentowna, doprowadzi do tego, że będzie nierentowna, gdyż potencjalni nabywcy akcji odmówią jej swego poparcia, a bank zaostriżyma wymagania kredytowe.

Niewykluczone, że poznawcze problemy ekonomii biorą się stąd, że metodologiczna sieć zarzucana przez tą dyscyplinę na rzeczywistość ma zbyt duże oka. Podnoszone są głosy, że klasyczna dwuwartościowa logika typu „prawda – fałsz” nie wystarcza do głębszej penetracji zjawisk ekonomicznych. Weźmy chociażby tak fundamentalne prawo ekonomii jak prawo wiążące cenę z podażą i popytem. Wiadomo, że kiedy cena rośnie, to podaż rośnie, ale kiedy cena rośnie, to popyt nieuchronnie maleje, zaś kiedy popyt maleje, to cena spada. Stąd jed-

noznacznie wynika, że **kiedy podaź rośnie, to podaź maleje!** W ten sposób znowu pogwałciliśmy na gruncie ekonomii kolejną ważną zasadę logiki dedukcyjnej, tzn. zasadę niesprzeczności. Ekonomiści nie muszą się jednak tego wcale wstydzić, albowiem w tym przypadku problem „gwałtu” na logice wpisuje się w – liczący sobie ponad dwa tysiące lat – ciągle nie do końca rozwiązany paradoks Zenona z Elei, twierzącego, że *skoro poruszająca się strzała w każdym momencie jest w konkretnym punkcie, to oznacza, że w każdym momencie strzała nie porusza się; ergo – ruch nie istnieje*. Okazuje się jednak, że chociaż logika dedukcyjna jest po stronie Zenona, to rzeczywistość mu zdecydowanie zaprzecza.

O ile przyjmujemy, że główną przyczyną niepowodzeń nauk ekonomicznych jest brak adekwatnej logiki pozwalającej ujmować rzeczywistość w jej całym bogactwie stanów, tzn. w sytuacjach, gdzie oprócz „jest” i „nie jest” oraz „tak” i „nie”, trzeba posłużyć się np. taką kategorią jak „staje się” (czyli coś pośredniego między „jest” i „nie jest”) oraz „być może” (czyli coś pośredniego między „tak” i „nie”), nie wygląda to jeszcze najgorzej. Z czasem powstanie z pewnością dostatecznie rozbudowana logika wielowartościowa, a teoria zbiorów rozmytych dostarczy pojęć dla adekwatnego opisu zjawisk wymykających się precyzyjnej kwantyfikacji.

Jak wiadomo, postęp w nauce dokonuje się bądź poprzez zastosowanie nowych instrumentów pozwalających wykryć nowe fakty bądź poprzez stworzenie nowych pojęć pozwalających stare sprawy bardziej trafnie wyjaśnić. Z ekonomią jest jednak ten kłopot, że nieporównanie szybciej powstają nowe instrumenty pozwalające wpływać na rzeczywistość gospodarczą niż pojęcia, które pozwalają ją wyjaśniać. Ciągle na przykład nie mamy wystarczającego systemu pojęć, aby wyjaśnić mechanizmy kryzysów finansowych, a dysponujemy już bardzo skutecznymi środkami wywoływania takich kryzysów. Ostatnio głównie przy użyciu właśnie niedawno skonstruowanych narzędzi oddziaływania na rynki finansowe, czyli tzw. instrumentów pochodnych.

Ale założmy – z pewną dozą optymizmu – że to też się zmieni. To znaczy, że przywrócona zostanie równowaga między instrumentalną i konceptualną zasobnością warsztatu teoretyka ekonomii. Okazuje się jednak, że nawet wtedy perspektywy praktycznej przydatności ustaleń teorii ekonomii dla polityki gospodarczej bądź działalności biznesowej nie wyglądają zbyt różowo. Albowiem trudno się spodziewać, że teoria ekonomii stanie się dla praktyków gospodarki źródłem tak niezawodnych dyrektyw praktycznego działania, jak teoria wytrzymałości materiałów dla konstruktorów maszyn. Wygląda na to, że trzeba się z tym faktem po prostu pogodzić, tak jak godzimy się z tym, że nawet absolutne przestrzeganie wskazówek najbardziej sławnych profesorów medycyny nie zapewni nam nieśmiertelności.

O ile jednak, jak dotąd, medycyna nie potrafi nam wyjaśnić, dlaczego zawsze musimy umrzeć, zaślaniając się stwierdzeniem, iż śmierć mamy po prostu zakodowaną w genach, to główną przyczynę niepowodzenia nauk społecznych, w tym ekonomii, można przynajmniej zasygnalizować nieco bardziej precyzyj-

nie. A przyczyna ta jest równie **obiektywna, co nieusuwalna**. Najkrócej ująć to można w stwierdzeniu, że **poznawcze kłopoty człowieka w odniesieniu do spraw społecznych biorą się stąd, że jest on zarówno twórcą, jak i wytworem tego, co pragnie zbadać**.

Wspomniałem, że przyczyna niepowodzeń jest nieusuwalna. Bierze się to po prostu stąd, że badaniem zjawisk społecznych, póki co, zajmują się ludzie. To zaś nieuchronnie na porządku dziennym stawia sprawę wzajemnych relacji między badanym zjawiskiem a jego badaczem. W tym miejscu od razu należy przypomnieć, że „samo zadanie poszukiwania prawdy w transcendentnym świetle wydaje się wewnętrznie sprzeczne; wiedzieć coś o świecie ‘samym w sobie’, równa się znajomości świata całkowicie niezależnego od faktu, że jest on badany, czyli stworzenie takiej sytuacji poznawczej, w której nie jest uwikłany przedmiot poznania – czyli sytuacji poznawczej, która nią nie jest” (Kořakowski 2005).

Okazuje się zresztą, że problem ten, tzn. problem uzyskania adekwatnej informacji w procesie obserwacji, od dawna już przysparza trudności również badaczom zjawisk fizycznych na poziomie subatomowym. W największym uproszczeniu sprawa polega na tym, że w świecie zjawisk subatomowych zastosowanie instrumentów pomiarowych wpływa na zachowanie się badanego obiektu. W rezultacie powstaje wątpliwość, czy uzyskana w procesie pomiaru obserwacja daje nam wiedzę o tym obiekcie, czy raczej wiedzę o tym, jak zachowuje się ten obiekt w momencie, kiedy dokonujemy jego pomiaru. Jeżeli np. chcemy obserwować jakąś cząstkę w mikroświecie, to aby ją zobaczyć, musimy ją oświetlić wysyłając wiązkę fotonów. Fotony, jeśli się nie zderzą z tą cząstką, nie przyniosą nam żadnej informacji. Nic nie zobaczymy. W przypadku kiedy zderzą się z cząstką, to nieuchronnie zmieniają jej parametry (kierunek ruchu oraz prędkość). W związku z tym otrzymamy informacje zniekształconą. Aliści na poziomie kwantowym nie tylko użycie instrumentów może zafałszować wyniki obserwacji. Okazuje się bowiem, że „gdy obserwujemy układ kwantowy, jego stan (funkcja falowa) na ogół gwałtownie zmienia się. Wydaje się, że zmiana stanu umysłu obserwatora w chwili, gdy uświadamia sobie wynik pomiaru, wpływa z kolei na aparat pomiarowy, a zatem na układ kwantowy, i zmienia także jego stan. Mówiąc krótko, stan fizycznego układu wpływa na stan umysłu, stan umysłu zaś oddziałuje z kolei na stan układu” (Davies, Brown 1996: 45).

Kolejnym paradoksem zdobywania informacji w obszarze zdarzeń fizycznych jest zadziwiający fakt, zgodnie z którym obserwator nigdy nie jest w stanie zobaczyć, jak naprawdę wygląda badany obiekt dokładnie w momencie otrzymania o nim informacji. Przekładając to stwierdzenie na przykład komunikatywny dla humanistów, możemy powiedzieć, że Romeo nigdy nie oglądał prawdziwej Julii, ale zawsze nieco młodszą; młodszą o tę trylionową cząstkę sekundy, jaka upłynęła od momentu, kiedy odbite od jej oblicza fotony dotarły do siatkówki Romea, a następnie przez wrażliwe na światło komórki uległy przekształceniu w ciąg impulsów elektrycznych, które poprzez zmiany potencjału docierały do odpowiednich części jego mózgu, gdzie wreszcie nastąpiło rozpoznanie obrazu. Wiadomo zaś, że zanim do tego rozpoznania dojdzie, Julia

się troszeczkę zestarzeje. Oczywiście w odległościach, jakie dzieliły kochanków z Werony, problem zgodności obrazu z oryginałem nie istniał, gdyż fotony pokonywały tę odległość natychmiast. Aliści gdyby Julia znajdowała się w galaktyce Andromedy w odległości dwudziestu lat świetlnych, to zakochany w niej „przez teleskop” Romeo mógłby się nieco rozczarować, gdyby doszło do konfrontacji obrazu z oryginałem. Należy też pamiętać, że opisana tym żartobliwym przykładem sytuacja stanowi dla fizyków i astronomów bardzo poważny problem. Wiadomo bowiem, że jeżeli patrzymy na odległą gwiazdę, to widzimy ją w stanie, w jakim ona była w przeszłości. Widzimy bowiem światło, jakie ona wyemitowała dawno temu, a które przez cały ten czas bieгло w naszym kierunku. Jeśli sięgamy naszymi obserwacjami coraz dalej, to osiągniemy dystans, na którego przebycie potrzeba 15 miliardów lat świetlnych. A to jest przecież czas istnienia Wszechświata. A więc nie możemy zobaczyć dalej niż ta odległość. Nigdy więc, ale to absolutnie nigdy, nie dowiemy się, co dzieje się od nas dalej jak 15 miliardów lat świetlnych. Ta odległość wyznaczająca nasze możliwości poznawcze w badaniu kosmosu określona jest mianem **horyzontu kosmologicznego**. Drugim ograniczeniem poznawczym w dziedzinie nauk ścisłych jest sławna **reguła nieoznaczoności Heisenberga**. Stanowi ona w gruncie rzeczy kwantytatywne przedstawienie konsekwencji tej zwrotnej relacji między badaczem i badanym obiektem, o której już pisałem. Wedle tej zasady, jeżeli chcemy w danym momencie zmierzyć pęd i położenie cząsteczki na poziomie subatomowym, to dokładności pomiaru obu tych parametrów są w stosunku do siebie odwrotnie proporcjonalne. To znaczy, że im bardziej dokładnie określimy pierwszy z nich, tym mniej dokładnie będzie można ustalić drugi. I nic na to nie można poradzić, gdyż taka to już jest uroda świata na poziomie subatomowym. Można by też – przy pewnej dozie tolerancji – pokusić się na stwierdzenie, że analogiem reguły nieoznaczoności **Heisenberga** jest w ekonomii **związek inflacji z bezrobociem**. Tu bowiem też zmiana jednej wielkości **in minus** wywołuje u drugiej wielkości skłonność ruchu **in plus**.

Czytelnik, który dobrnął do tego miejsca, może zapytać, po co w tekście o kłopotach w naukach społecznych raczę go przydługimi przykładami problemów, jakie w procesach badania rzeczywistości materialnej trapią również nauki ścisłe. Otóż chodzi mi o to, aby przy tej okazji zasygnalizować przepaść, jaka dzieje się, co się dzieje w naukach społecznych, od tego, co charakteryzuje „stan spraw” w obszarze nauk ścisłych. Głównie jeżeli idzie właśnie o styl podejmowanych prób w rozwiązywaniu problemów poznawczych. A różnica jest taka, jak między „wolną amerykanką” a „zapasami w stylu klasycznym”! Nauki ścisłe dysponują np. zestawem kryteriów (np. zasada zachowania energii, reguła Heisenberga, horyzont kosmologiczny, wzrost entropii itp., itd.), których naruszenie dyskwalifikuje bez prawa do apelacji. Jeżeli ktoś występuje z hipotezą, która podważa np. zasadę zachowania energii, to żadna instytucja naukowa, żadne gremium profesorskie nie podejmie z nim dyskusji. Już ponad sto lat temu uczeni francuscy podjęli decyzję zakazującą rozpatrywania jakiegokolwiek pomysłu, jeżeli jego autor zakłada możliwość istnienia *perpetuum mobile*, czyli

uzyskania większej energii niż została na to działanie zużyta. To właśnie sprawia, że w sprawach fundamentalnych spory w naukach ścisłych są rozstrzygalne. Choć trwają czasem bardzo długo, zanim „autorytet eksperymentu” przyzna nieodwołalne zwycięstwo jednej ze stron. A także, co jest nie mniej ważne, twórcze zapędy naukowców nie wynikają z ich elokwencji i odczytania w pracach kolegów, ale muszą wywodzić się z dających się weryfikować realiów oraz są poddane rygorom wynikającym z konieczności respektowania wyżej wspomnianych zasad. Nic więc dziwnego, że przy takich założeniach dyscyplinujących procesy badawcze w naukach ścisłych, ogłaszane przez te nauki werdykty pozwalają praktykom skutecznie oddziaływać na rzeczywistość materialną. Nauki ścisłe, nawet wstrząsane kryzysami, budzą respekt, albowiem wszyscy mamy świadomość, że nawet najbardziej fantastyczne hipotezy, jakie są tam formułowane, zawsze osadzone są na twardym fundamencie obiektywnych praw i niepodważalnych faktów.

Tęgo wszystkiego właśnie brakuje w naukach społecznych. Co również sprawia, że polemiczny dyskurs uprawiany w naukach społecznych jest nieporównywalny z tym, jaki jest właściwy naukom ścisłym. Wystarczy przyjrzeć się publikacjom, w których spierają się np. protagoniści teorii kwantów ze zwolennikami einsteinowskiej koncepcji „Boga, który nie gra w kości”³, i porównać z tym, za pomocą jakich argumentów i w jakim klimacie kłócą się ze sobą np. **neoklasycy** z **postkeynesistami**. Doskonałym przykładem tej różnicy stylu jest opublikowana ostatnio książka autorstwa prominentnych przeciwników **Keynesa** pod jednoznacznie miażdżącym go tytułem „**Jak zrujnować gospodarkę, czyli Keynes wiecznie żywy**” (Hultberg, Hoppe, Rothbard, Salerno. 2004). Mimo że osobiście skłonny jestem raczej sceptycznie odnosić się do użyteczności dyrektyw Keynesa w zastosowaniu do współczesnej gospodarki, to w argumentacji merytorycznej atakujących go naukowców nie znalazłem nic nowego, co by moją niewiarę w Keynesa umocniło. Zaś zawarte w ich książce informacje – donosy, że był on antysemitą i niemoralnie się prowadził – skłoniły mnie do zastanowienia się nad motywacją adwersarzy lorda Keynesa: czy kierowała nimi pasja odkrycia prawdy o gospodarce, do której on nie dotarł, czy też chęć „przyłożenia” facetowi, którego nie lubią ze względu na charakter i/lub z powodu sławy, której mu zazdroszczą?

Aliści to nie styl prowadzonych polemik w obszarze nauk społecznych jest ich grzechem głównym. Znacznie poważniejszym zarzutem jest permanentna nierozstrzygalność prowadzonych sporów w kwestiach fundamentalnych oraz niczym nieograniczona (poza własną pomysłowością) płodność „teoretyków” w prezentacji własnych całościowych wizji ludzkiego świata bądź interpretacji rozmaitych jego aspektów.

Jeżeli idzie o kwestię pierwszą, tj. o nierozstrzygalność sporów, to wiąże to z niezapomnianym osobistym doświadczeniem, kiedy w roku 1967 jako stypendysta Fundacji Forda miałem okazję wysłuchać wykładu prof. M. Friedmana na temat inflacji. Po wykładzie – znakomitym – doznałem intelektualnej iluminacji. Wreszcie całkowicie zrozumiałem w czym rzecz. Znikły wszelkie wątpliwo-

ści. Friedman otworzył mi oczy. Toteż kiedy zaproponowano mi, abym w kolejny czwartek wysłuchał, co na temat inflacji ma do powiedzenia P. Samuelson, nie bardzo miałem chęć skorzystać z zaproszenia. Rozumowałem logicznie. Albo Samuelson powie to samo co Friedman, czyli szkoda czasu na wysłuchiwanie tego, co już wiem, albo powie co innego, czyli powie rzeczy niesłuszne, albowiem prawda w danej sprawie może być tylko jedna. A tę już przecież znam. Przedstawił ją Friedman. Wszelako względy kurtuazyjne sprawiły, że znalazłem się w końcu na wykładzie P. Samuelsona. Po wysłuchaniu tegoż, uświadomiłem sobie, że całkowicie się zgadzam z przedstawionym przez prelegenta stanowiskiem, a jego wnioski logicznie wynikają z przesłanek, które są ugruntowane na twardym fundamencie empirii. Tyle tylko, że te wnioski składały się na całkowicie odmienną od friedmanowskiej koncepcję inflacji. Był to dla mnie wówczas horror. Nie mogłem się pogodzić z myślą, że w tak dostojnej dyscyplinie, jaką była dla mnie – absolwenta Wydziału Ekonomii UW – ekonomia, mogą istnieć dwie prawdy w tej samej sprawie. A ich prominentni głosiciele legitymują się Nagrodą Nobla! Pech chciał, że w tym samym czasie zetknąłem się z dziełami Vilfreda Pareto, gdzie szczególnie przemówiło do mnie dobrze udokumentowane twierdzenie o dziwnej skłonności klas rządzących do wspierania doktryn, które prowadzą do ich zagłady. Wszelako to twierdzenie całkowicie przeczyło marksowskim analizom, które do dzisiaj do mnie przemawiają, że klasy rządzące hołdują takim ideologiom, które służą ich interesom. Wszystko to razem sprawiło, że – parafrazując Parandowskiego – *moje naukowe niebo stanęło w płomieniach*. Co więcej, okazało się, że czas, jaki upłynął od tych wydarzeń, dał mi okazję do wielokrotnego przeżycia podobnych doznań.

W moich rozterkach, którym daję tu wyraz, pewnym pocieszeniem jest dla mnie fakt, że również osoby, których ranga w obszarze takich dyscyplin jak matematyka czy logika jest niekwestionowana, mają podobne do moich wątpliwości. Np., kiedy przyjdzie im ocenić, kto ma rację wśród wielkich sław, w przypadku kiedy zgłaszane są krańcowo różne poglądy. Rozwinięcie tego tematu znacznie przekraczałoby jednak rozmiary niniejszego artykułu. Niemniej jednak, warto podkreślić, iż ciągle pozostaje otwartym fascynujące (przynajmniej mnie!) pytanie postawione przez R. Rorty'ego: „dlaczego filozofowie (a można tu dodać przedstawicieli wszystkich nauk społecznych – przypis AZ) zarówno obecnie, jak i w czasach Cycerona, spierają się ciągle bez ostatecznych wyników, wykonując nieustannie te same dialektyczne kręgi, nigdy nie przekonując się nawzajem do swoich poglądów, choć stale potrafią zainteresować studentów?” (Habermas, Rorty, Kołakowski 1996: 55).

Szczególnie żyzną glebę, na której wyrastają wzajemnie sprzeczne koncepcje teoretyczne, stanowi humus, na który składają się takie dyscypliny jak socjologia, psychologia, politologia i – coraz bardziej niestety – ekonomia. Można wręcz odnieść wrażenie, że w tych dyscyplinach **odpowiednia doza tupetu i trochę talentu literackiego nie tylko umożliwiają wystąpienie z każdą teorią na temat społeczeństwa, ale także pozwalają wprowadzić ją na salony akademickie**. Rośnie też częstotliwość pojawiania się publikacji, które bądź obwiesz-

czają bezapelacyjny werdykt przesądzający o losach często dość fundamentalnych zjawisk społecznych – na przykład książki F. Fukuyamy, J. Rifkina lub J. Horgana – bądź z jeszcze większą reklamierską fanfaronadą – patrz książka K. Kelly – głoszą powstanie „nowej ekonomii”⁷⁴. Znaleźć tam można z literacką werwą wartko opisane, okraszone pewną ilością empirycznych faktów, najrozmaitsze fabuły.

Niemniej jednak tego rodzaju twórczość nie jest jeszcze największą skazą obniżającą rangę nauk społecznych. Jest sprawa znacznie bardziej skandaliczna. Okazuje się bowiem, że kiedy brakuje autentycznych osiągnięć badawczych bądź prawdy, które się obwieszcza, są banalnymi truizmami, jest jeszcze jeden sposób, aby wyjść z impasu i wystąpić w majestatycznych szatach kapłana nauki. **Skoro, jak wyżej wspomniałem, nauka jest sposobem generowania twierdzeń, z którymi, jeśli się je rozumie, nie można się nie zgodzić, to istnieje bardzo skuteczny, choć szalbierski sposób, aby ogłaszać stwierdzenia, które mają szansę uchodzić za naukowe. Trzeba po prostu zacząć wygłaszać rezultaty swoich „badań i przemyśleń” w języku kompletnie niezrozumiałym dla odbiorców.** Aby się nadmiernie nie przemęczyć wymyślaniami nowych pojęć (choć tego trudu nie żalowali sobie niektórzy postmoderniści, zapełniając swoje stronnice rozmaitymi *symulakrami, meta-narracjami, dekonstrukcją, implozjami, synekdochami* itp., itd.), najłatwiej sięgnąć do nauk ścisłych, gdzie już jest ich obfitość. Tyle tylko, że w naukach ścisłych za tymi pojęciami stoją realne byty. Natomiast w naukach społecznych desygnatami większości pompacyjnie brzmiących nazw są byty wymyślone. W efekcie takich praktyk pojawiają się dzieła, w których poza nazwiskiem autora wszystko jest bezsensem i nieprawdą. A jednak są one drukowane i publikowane przez poważne wydawnictwa. Dzieje się tak, mimo że przed decyzją o publikacji poddawane są skrupulatnym ocenom i recenzjom naukowo utytułowanych członków kolegów redakcyjnych. Dzieła te wywołują potem wśród czytelników nabożny podziw. A przyczyną tego podziwu jest zarówno fakt, że są rekomendowane przez ludzi, których tytuły naukowe świadczą o profesjonalnej kompetencji, jak również z tego powodu, że są kompletnie dla czytelnika niezrozumiałe.

Jeżeli ktoś z czytających te słowa skłonny mi będzie zarzucić, że moje oceny tego, co się dzieje w wielu obszarach nauk społecznych, są krzywdzące, odwołam się do konkretnego przykładu. Przykładu – ze zrozumiałych względów – stosunkowo słabo nagłośnionego. Otóż w roku 1996 dwóch fizyków (A. Sokal, J. Bricmont) zirytowanych tym, że liczni przedstawiciele nauk społecznych angażują się w niekończące dyskursy niepodatne na żadne sprawdziany i, co gorsza, w dyskursach tych epatują używaniem terminów i wyjaśnień stosowanych na gruncie nauk ścisłych, postanowiło sobie zakpić z tego towarzystwa. Kpina była jadowicie toksyczna. Polegała na pokazaniu wszem i wobec, że w obszarze nauk społecznych można opublikować każdy bezsens pod warunkiem, że tekst, który jest jego nośnikiem, będzie nasycony odpowiednią ilością pojęć zaczerpniętych z nauk cieszących się niekwestionowanym autorytetem; głównie więc z fizyki i matematyki. Napisali więc artykuł będący parodią tekstów, w jakich

ostatnimi laty celują w naukach społecznych głównie postmoderniści. Artykuł zatytułowali „**Transgresja granic: ku transformatywnej hermeneutyce kwantowej grawitacji**”⁵. Już sam ten tytuł został w intencji autorów wykoncypowany jako przykład komicznego bełkotu. Aliści w treści samego artykułu upchnęli oni możliwie największą ilość wszelkiego absurdu i wniosków niewynikających z przesłanek. Nasycili go wielką ilością cytatów pochodzących z dzieł autorów należących do panteonu sław współczesnego postmodernizmu (np. G. Deluze, J. Derrida, J. Lacan, B. Latour, J.F. Lyotard, M. Serres, L. Irigaray). Cytaty te często stanowią przykład bezczelnych nadużyć, jakich dopuszczają się wyżej wymienieni uczeni, eksploatując dla swoich potrzeb dorobek nauk ścisłych. Nie cofając się przed „wyjaśnieniem” (co w ich języku nazywa się **dekonstrukcją**), jak naprawdę należy odczytać Einsteina. Jak bowiem wywodzi J. Derrida: „stała Einsteina to nie stała, to nie środek. To samo pojęcie zmienności – to w końcu pojęcie gry” (Sokal, Bricmont 2004: 63). Wszystko to razem podlali sosem własnych humorystycznie absurdalnych tez, z których jedna np. głosi, że „nasza fizyczna rzeczywistość jest w tym samym stopniu językowym konstruktem, co rzeczywistość społeczna [...], zaś liczba? Euklidesa i stała grawitacji g Newtona, dawniej postrzegane jako stałe uniwersalne, teraz postrzegamy w ich nieuniknionej historyczności” – i bełkot ten opublikowali w poważnym amerykańskim piśmie naukowym „**Social Text**”⁶. Kolegium redakcyjne – w skład którego wchodził człowiek z tytułami naukowymi – poświęciło temu artykułowi specjalny numer, podając zawarte w nim treści jako dowód na „naukowość” postmodernizmu i jego ugruntowanie na dorobku nauk ścisłych. Kiedy po kilku tygodniach trwania tej szopki A. Sokal i J. Bricmont opublikowali list, w którym przyznali się do żartu, wywołało to prawdziwą burzę w prasie i pismach naukowych. Pewien student w liście do redakcji napisał, że pieniądze, które wydał na opłatę studiów, wydał w istocie rzeczy na ubranie króla, który – jak w baśni – jest nagi (cytat za: Sokal, Bricmont 2004: 17). Inni czytelnicy dziękowali autorom „Transgresji granic...”, że wyleczyli ich z kompleksów, jakich się nabawiali, czytając teksty prominentnych uczonych w obszarze nauk społecznych, których ani w żąb nie mogli zrozumieć. Do podobnych wniosków skłania dokonana następnie przez Sokala i Bricmonta wiwisekcja prac wybranych autorów, cieszących się uznaniem we współczesnej humanistyce.

Zostawmy jednak ten skandalizujący wątek, niestety zawsze obecny we wszelkich rozważaniach związanych z oceną każdej sytuacji z udziałem człowieka, bowiem nawet przytoczenie znacznie barwniejszych przykładów szalbierstwa nie przybliży nas nawet na jotę do wyjaśnienia kwestii podstawowej. A jest nią znalezienie odpowiedzi na pytanie: **dlaczego nauki ścisłe są znacznie efektywniejsze w dostarczaniu dyrektyw skutecznego manipulowania materią niżli nauki społeczne w roli dostawcy dyrektyw w rozwiązywaniu ludzkich problemów?**

Odpowiedź na to pytanie staje się sprawą pilną. Nie tylko dla tego, że nauki społeczne niejako od zawsze nie radzą sobie z ludzkimi problemami, ale głównie dlatego, że idące jak burza do przodu nauki ścisłe same stają się źródłem poważnych problemów społecznych! Np. osiągnięty dzięki sukcesom nauk ści-

szych rozwój techniki wojskowej grozi zagładą rodzaju ludzkiego, bo w zakresie osiągnięcia konsensusu nauki społeczne nie wyposażyły homo sapiens w należyte procedury i umiejętności. Z kolei fantastyczny wręcz postęp techniki medycznej w USA sprawił, że „lekarze czują się zdominowani nakazem korzystania z wszelkich dostępnych technologii, a przeprowadzone badania Senatu wykazały, że amerykańscy lekarze wykonali 2.4 miliona operacji, które nie były niezbędne, a spowodowały 11900 zgonów i kosztowały około 4 miliardów \$; szacuje się, że blisko 40% operacji wykonywanych w Ameryce to operacje niekonieczne [...]” (Postman 2002: 128). Tego typu przykłady generowania przez sukcesy techniki poważnych zagrożeń społecznych można by mnożyć.

Mając więc na uwadze niebezpieczną wymowę sygnalizowanych powyżej zjawisk, a przede wszystkim to, że ich występowanie wiąże się z impotencją nauk społecznych, należy uświadomić sobie pewien elementarny fakt, który być może przez swoją oczywistość na ogół umyka naszej refleksji.

Otóż przypomnijmy, że we wszystkich zdolnościach, które człowiek dzieli razem z innymi współmieszkańcami naszego globu, osiągnęliśmy niesłychany postęp. Jeszcze trzysta lat temu prędkość galopującego konia, wzrok sokoła czy siła słonia były dla człowieka czymś nieosiągalnym. Obecnie możemy się poruszać z prędkością zapewniającą wyrwanie się z pola grawitacyjnego Ziemi (8 km/sek), wzrokiem penetrujemy fragmenty kosmosu w odległościach mierzonych latami świetlnymi, a dysponując energią nuklearną, siłę słonia przekroczyliśmy miliardy razy! Natomiast **jedyna cecha, która jest unikalna dla naszego gatunku, tzn. zdolność komunikowania się na poziomie werbalnym, rozwinęła się na przestrzeni minionych tysiąc leci niezbyt imponująco**. Kiedy słucham oratorskich popisów naszych parlamentarzystów, nie przypuszczam, aby **Cycon** lub **Demostenes** mieli im czego zazdrościć. A nawet skłonny jestem sądzić, że dwa tysiące lat temu przeciętna jakość wystąpień politycznych na ateńskiej Agorze czy Forum Romanum pod względem stylistyki, dykcji, a nawet merytorycznie – była lepsza. Okazuje się więc, że we wszystkich działaniach, w których współzawodniczyliśmy ze zwierzętami, osiągnęliśmy sukcesy niebotyczne. Natomiast w doskonaleniu cechy, która stanowi o istocie naszego człowieczeństwa, tzn. zdolności porozumiewania się z innymi przy użyciu słów, osiągnęliśmy w ciągu ostatnich trzech tysięcy lat rezultaty raczej mizerne. Fakt ten jest godny zastanowienia. Z pewnością pozostaje on w jakimś związku z postawionym uprzednio pytaniem o przyczynę przewagi – mierzonej stopniem wywiązania się ze zgłaszanych pod ich adresem praktycznych oczekiwań – nauk ścisłych nad naukami społecznymi. Można też przyjąć, że brak postępów w poprawie efektywności komunikowania się ludzi między sobą wynika z ograniczoności instrumentu, jakim jest język.

Z jednej bowiem strony jest to narzędzie – szczególnie, kiedy jest wykorzystywane przez genialnego poetę – o olbrzymich możliwościach oddziaływania na stany emocjonalne człowieka. Z drugiej strony nawet najwięksi wirtuozi w posługiwaniu się tym instrumentem, myślę tu chociażby o naszych Wieszczach, często uskarżali się na jego ograniczenia. Wystarczy przypomnieć słynne

frazy o tym, jak to „język myślom kłamie”, bądź wołanie, „aby język gętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa”. Zaś współczesny papież postmodernizmu J. Derrida powiada (i to jest jeden z rzadkich przypadków, w których całkowicie i bez zastrzeżeń z nim się zgadzam), że: „człowiek uwięziony jest w języku, i jest to bardziej ograniczające niż ekonomiczny determinizm Marksa czy psychologiczny determinizm Freuda!” (Derrida 2004: 486).

Chociaż więc za sprawą języka osiągamy wyższy stopień świadomości, gdyż umożliwia nam on tworzenie nowych pojęć oraz wszelką refleksję, to – jak wykazuje historyczna praktyka – doskonalenie języka w roli instrumentu przekazu myśli o odwzorowywanej przez niego rzeczywistości jest istotnie **ograniczone**. **Język nie może bowiem pośredniczyć między samym sobą i rzeczywistością z tego prostego powodu, że rzeczywistość opisujemy za pomocą słów.** Za każdym razem, kiedy jakieś pojęcie konfrontujemy z tzw. rzeczywistością, to faktycznie konfrontujemy je z innymi pojęciami opisującymi rzeczywistość. Lapidarnie i z właściwą sobie trafnością ujął ten problem Wittgenstein: „nie można wyjść poza język, aby go zrozumieć”. Jest to moim zdaniem sprawa o fundamentalnym znaczeniu. Aby rzeczywistość była obiektywnie (nie bardzo wiadomo, co to, w tym wypadku, znaczy) i bez reszty odwzorowywana w języku, nie może być opisywana tylko za pomocą słów. Skoro ten warunek nie może być spełniony, otwiera się tajemniczy problem wzajemnej zwrotności w oddziaływaniach. Znakomicie tą kwestię ujął N. Postman, pisząc: „język nie jest tylko narzędziem ekspresji, ale również nami kieruje. Wynika z tego, że nie doświadczamy i nie możemy doświadczać samej rzeczywistości, ale poznajemy ją przez system kodów (językowych, matematycznych, kodów sztuki). Kiedy stwierdzam, ‘Jan jest głupi’ lub ‘Helena jest mądra’, mówimy o ‘głupocie’ i ‘mądrości’ jako cechach charakterystycznych Jana i Heleny, podczas gdy słowa te mówią jedynie o naszych własnych odczuciach. Zdanie ‘Jan jest głupi’ jest skróconą wersją czegoś w rodzaju: ‘obserwuję zachowanie Jana i jestem rozczarowany, sfrustrowany albo zniesmaczony’. Bardziej mówimy tu o sobie niż o Janie. Jednak na skutek jakiejś gramatycznej alchemii ‘ja’ zniknęło. Gramatyka zmusiła nas do ‘zobiektywizowania’ naszych uczuć, do projekcji ich poza nasze ciało. ‘Głupota’ innymi słowy jest kategorią gramatyczną. Nie istnieje w naturze.” (Postman 1999: 81).

Ponieważ język nauk ścisłych i stosowane tam metody przyniosły autentyczne sukcesy w poznawaniu i podporządkowywaniu świata materii woli człowieka, naturalną okazała się chęć zastosowania tych metod do badań nad zachowaniami ludzi.

W tej sytuacji podstawowym zadaniem staje się wyjaśnienie tego, czy nauki społeczne, posługując się arsenałem badawczym zapożyczonym w znacznej części od nauk ścisłych oraz metodami własnymi – acz niepewnej konduity, są zdolne sobie poradzić z zadaniami, jakie już nie tylko ambicje poznawcze, ale dokuczliwa codzienność im narzuca?

Zacznijmy od przypomnienia spraw podstawowych. Otóż jest rzeczą ustaloną ponad wszelką wątpliwość, że otaczającego nas świata doświadczamy po-

przez **wrażenia** (np. jest nam zimno), a poznajemy i wyjaśniamy poprzez **pojęcia**. Pojęcia z kolei eksploatujemy, przetwarzając je w logicznym rozumowaniu i wy-prowadzamy z tego dalsze wnioski. Tj. wnioski, które już dotyczą fragmentów rzeczywistości niedoświadczonej uprzednio poprzez wrażenia (np. model budo-wy atomu nie powstał na podstawie tego, co odebraliśmy zmysłami w procesie badawczym). Arcyważną kwestią są wzajemne związki, jakie zachodzą między wrażeniami i wyjaśniającymi je pojęciami. Szczególnie pożądliwie poszukujemy takich związków między pojęciami wyinterpretowanymi przez rozumowanie bądź bezpośrednio wyabstrahowanymi z wrażeń, które mają charakter przyczy-nowo-skutkowy. Przyjmuje się jako normę, że wyjaśnienie naukowe podaje przy-czynę tego, co obserwujemy. Dodajmy zaś dla porządku, że wyjaśnić naukowo jakieś zjawisko z obszaru zjawisk fizyczno-przyrodniczych, to po prostu wyka-zać, że w świetle działających praw natury było ono konieczne. Aliści wiedza umożliwiająca sformułowanie praw przyczynowych uzbraja nas w coś więcej niż tylko możliwość wyjaśniania badanych zjawisk. Jak trafnie przypomina nam R. Scruton: „prawo przyczynowe powiada nie tylko, że jedno zdarzenie jest skutkiem drugiego, lecz że zdarzenie tego drugiego rodzaju uprawdopodobnia zajście zdarzenia pierwszego rodzaju; w rezultacie diagnoza staje się prognozą!” (Scruton 2000: 19).

Właśnie ta możliwość prognozowania, którą zapewnia znajomość prawa nauki, oraz uniwersalny charakter prawa – to główne powody, dla których poszukiwa-nie praw jest zajęciem godnym trudu. Po prostu dlatego, że uniwersalność pra-wa pozwala na formułowanie prognoz obowiązujących „wszędzie”! Kiedy od-kryto prawo rządzące przyspieszeniem spadających ciał w zależności od masy, która je przyciąga, to tym samym uzyskano możliwość predykcji tego zjawiska w całym wszechświecie.

Niestety (a może stety!) takie uniwersalne, umożliwiające predykcje prawa, są odkrywane tylko w obszarze zainteresowania nauk ścisłych. Przyznaje to zresztą znany socjolog angielski A. Giddens, stwierdzając melancholijnie: „w na-ukach przyrodniczych jest wiele przykładów twierdzeń spełniających warunek uniwersalności...w naukach społecznych nie ma żadnego twierdzenia, które spełniałoby warunek uniwersalności!” (Giddens 2003: 17). Nawet w ekonomii uniwersalne prawa są ciągle dobrem poszukiwanym. Zdawać by się mogło, że warunek uniwersalności spełnia prawo głoszące, iż wzrostowi ceny dobra towar-zyszy spadek popytu na to dobro. Aliści znany od lat tzw. **paradoks Giffena** pokazuje, że są sytuacje, w których zależność ta obowiązuje w odwróconej po-staci; czyli wzrostowi cen towarzyszy wzrost popytu. Zaś ostatnie lata pokazu-ją, że zanoszą się na to, iż paradoks Giffena przestanie być paradoksem, albo-wiem, jak stwierdza wyjątkowo, bądź co bądź, kompetentny w sprawach rynku fachowiec **G. Soros**: „rosnące ceny bardzo często przyciągają nabywców i na od-wrót” (Soros 1996: 36). A więc najbardziej uniwersalne prawo ekonomii wyraż-nie bierze w łeb!

Okazuje się więc, że **nauki społeczne w znikomym stopniu są dyspozytariu-szem praw o uniwersalnym charakterze i umożliwiającym trafne prognozowanie.**

Natomiast wygenerowały olbrzymią ilość „praw”, których treść po wyluskaniu ze skomplikowanej formy jawi się jako zwykły truizm czy wręcz banał. Istnieje zresztą bardzo dobry test na sprawdzenie, co zawiera zaprezentowana nam prawda. Otóż wystarczy jej zaprzeczyć; jeżeli zdanie będące jej negacją jest nonsensem, to przedstawiona nam prawda jest banałem. Na przykład ktoś powiada: „w wyniku prowadzonych badań stwierdziłem, że średnio rzecz biorąc, starsi ludzie wolniej chodzą niż młodzi”. Oczywiście negacja tego zdania jest nonsensem. Czyli wyjściowa prawda będąca rezultatem wspomnianych „badań” jest banałem. Inny – tym razem autentyczny – przykład. W poważnej pracy naukowej czytamy: „teoria socjologiczna jest ważna dla socjologii, i to nie tylko (może nawet przede wszystkim) w wymiarze poznawczym, lecz instytucjonalnym” (Sojak 2004: 25). Trudno się chyba nie zgodzić, że najważniejszy jest **wymiar instytucjonalny**, bo przecież to on właśnie **zapewnia etaty**.

Wygląda więc na to, że w naukach społecznych albo mamy do czynienia z dobrze udokumentowanymi truizmami typu „pozycja zawodowa i wiek są silnie skorelowane z wysokością zarobków” (przy czym truizmy takie mogą być podane prostym językiem lub spowite obłokiem ornamentyki niezrozumiałego nazewnictwa), albo z twierdzeniami, które są plodem literackich zdolności i naukowego hochsztaplerstwa. Przy czym najgorętsze spory i dywagacje toczą się wokół kwestii i twierdzeń, których merytoryczna treść pozostaje w bardzo luźnym związku z rzeczywistością. W takich sytuacjach należy do twierdzeń spierających się adwersarzy zastosować test W. Jamesa, stawiając proste pytanie: „jak zmieniłby się świat, gdyby rozpatrywane twierdzenie było prawdziwe bądź nie prawdziwe?”. **Jeżeli prawdziwość bądź nieprawdziwość danego twierdzenia nie pociąga za sobą żadnych dających się zidentyfikować konsekwencji, twierdzenie to jest nic nie znaczącym pustostawem.**

Ale dysponowanie najlepszym nawet testem na wyławianie banałów nie jest równoznaczne z posiadaniem wiedzy o przyczynach ich pojawiania się właśnie w naukach społecznych.

Zacznijmy więc od przypomnienia faktu najbardziej podstawowego. Otóż faktem jest, że **nauki społeczne nie dysponują narzędziem adekwatnego opisu świata stworzonego przez człowieka**. Ta asymetria możliwości człowieka w roli **kreatora** rzeczywistości i jej **opisywacza** może wydać się dziwna. Panuje powszechne przekonanie, że jeżeli coś potrafimy stworzyć, zbudować, to tym bardziej potrafimy to opisać. Otóż okazuje się, że nie koniecznie. Np. nakreślenie, „stworzenie” przekątnej w kwadracie (o wymiarach 1x1) jest zabiegiem prostym. Jej opis to podanie długości która wynosi jak wiadomo $\sqrt{2}$. Ale wiadomo też, że pierwiastek z dwóch jest liczbą niewymierną 1.414213562..., w której ilość cyfr po przecinku rozciąga się w nieskończoność. A przecież opisem długości powinna być wielkość skończona. Kogo ten przykład nie przekonał, tego odsyłam do zjawisk bardziej fundamentalnych. Oto na przykład wiadomo, że większość sporów teoretycznych w ekonomii bierze się stąd, że różni uczeni inaczej postrzegają to, co widzą inni uczeni. Diagnozy sformułowane są więc na podstawie odmiennego obrazu sytuacji. Brak takiego obrazu bierze się stąd właśnie, że **nie**

potrafimy adekwatnie, tj. w sposób jednoznaczny, uniemożliwiający różnorodne interpretacje, przedstawić opisu gospodarki. A przecież gospodarka nie została stworzona przez elfy i krasnoludki, z którymi nie mamy wspólnego języka. To nasze wspólne dzieło – **opus**, którego, jak się okazuje, nie potrafimy opisać!

Nauki społeczne zafascynowane sukcesami nauk ścisłych od końca XIX wieku z wielkim rozmachem sięgają do ilościowych metod. Metod – dodajmy – wypracowanych dla potrzeb badania tych aspektów rzeczywistości, które interesują nauki ścisłe. A przecież nawet w tych naukach istnieje świadomość ograniczoności tychże metod. Nikt inny jak właśnie Heisenberg powiedział: „fizyka jest zmatematyzowana, bo niestety tylko matematyczne właściwości świata udało nam się na razie odkryć”. Natomiast mimo raczej kiepskich rezultatów w odkrywaniu takich ilościowych inwariantów rządzących procesami gospodarczymi, coraz więcej podręczników ekonomii przypomina podręcznik do matematyki.

Opanowanie metod ilościowych przez niektórych uczonych w naukach społecznych dało początek zjawisku, które jest ilustracją amerykańskiego porzekadła, że dla faceta, który ma młotek, każdy problem to gwóźdź. Stąd też badania statystyczne wszystkiego, co tylko może zostać wyartykułowane przez ankietera, to w socjologii zjawisko tak powszechne jak wulgaryzmy w tygodniku NIE. Natomiast z pola widzenia uchodzi jakoś ostrzeżenie **Boltzmana**⁷, że opis układu dokonany na podstawie analizy statystycznej jest uprawniony tylko wtedy, gdy układ jest kompozycją przypadkową, tzn. składa się z elementów niewchodzących ze sobą w regularne związki. A przecież w świecie stającym się globalną wioską, w której o pewnych godzinach większość mieszkańców przeżywa te same emocje, gdzie wszyscy są indoktrynowani przez tych samych „agentów wpływu”, gdzie tandetne, acz łatwo przyswajalne wzorce kultury masowej klonizują ludzi, warunek Boltzmana nie może być spełniony. Zdaniem F.A. Hayeka, właśnie opisana wyżej scjentystyczna wiara cechująca większość socjologów i psychologów sprawiła, że „**nauki społeczne nic prawie nie wniosły do naszego rozumienia zjawisk społecznych**” (Hayek 1962).

Informacje o autorze

Prof. dr hab. Andrzej M. Zawiślak – kierownik Katedry Systemów Zarządzania, Wydział Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego.

Przypisy

- ¹ Fragmenty większej całości opublikowanej jako „working paper” pod tytułem „Nowe szaty króla (rzecz o naukach społecznych)”. Warszawa: 2005. WN WZ UW.
- ² Do tego cytatu skłoniła mnie lektura *Paradosku Antropologicznego* R. Sojaka, gdzie informuje on czytelnika m.in, że w czasie seminarium w Polskiej Akademii Nauk dyskutanci dopracowali się wniosku (sądzę, że po wyczerpującej dyskusji), iż „ życie jest bogatsze niż jakikolwiek model”.
- ³ Jest to sławna riposta Einsteina na próbę przekonania go przez rzeczników kwantowego indeterminizmu co do roli prawdopodobieństwa w kreowaniu materialnej rzeczywistości.

- ⁴ Fukuyama, F. 1992. *Koniec historii*. Poznań: Wyd. Zysk i S-ka; Fukuyama, F. 2004. *Koniec człowieka*, Karków: Wyd. Znak; Rifkin, J. 2001. *Koniec pracy*, Wrocław: Wydawnictwo Dolnośląskie; Horgan, J. 1999. *Koniec Nauki*, Warszawa: Prószyński i S-ka; Kelly, K. 2001. *Nowe reguły gospodarki: dziesięć przełomowych strategii dla świata połączonego siecią*, Warszawa: WIG-Press.
- ⁵ Artykuł ten znajdzie czytelnik w książce tych Autorów: Sokal, A. i J. Bricmont 2004. *Modne bzdury. O nadużywaniu pojęć z zakresu nauk ścisłych przez postmodernistycznych intelektualistów*, Warszawa: Prószyński i S-ka.
- ⁶ "Social Test" (Spring/Summer 1966), Duke University Press.
- ⁷ L. Boltzman (1844–1908) – sławny fizyk austriacki; twórca kinetycznej teorii gazu, wprowadził pojęcie entropii.

Bibliografia

- Cleaver, T. 2002. *Understansing the Word Economy*, Londyn – Nowy Jork: Routledge.
- Davies, P.C.W. i J.R. Brown. 1996. *Duch w atomie*, Warszawa: Wyd. CIS.
- Derrida, J. 2004. *Pismo i różnica*, Warszawa: Wyd. KR.
- Giddens, A. 2003. *Stanowienie społeczeństwa*, Poznań: Wyd. Zysk i S-ka.
- Habermas, J., Rorty, R. i L. Kołakowski. 1996. *Stan filozofii współczesnej*, Warszawa: IFiS.
- Hayek, F.A. 1962. *The Counter Revolution of Science: Studies on the Abuse of Reason*, Liberty Press.
- Hultberg, N., Hoppe, N., Rothbard, M.N. i J.T. Salerno. 2004. *Jak zrujnować gospodarkę czyli Keynes wiecznie żywy*, Warszawa: Wyd. Fijorr Publishing Co.
- James, W. 2004. *Pragmatyzm*, Kraków: Wyd. Zielona Sowa.
- Kołakowski, L. 2005. *O co nas pytając wielcy filozofowie?* Kraków: IW Znak.
- Postman, N. 1999. *W stronę XVIII stulecia*, Warszawa: PIW.
- Postman, N. 2002. *Technopol: triumf techniki nad kulturą*, Warszawa: Wyd. Muza.
- Sojak, R. 2004. *Paradoks antropologiczny*, Wrocław: Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego.
- Sokal, A. i J. Bricmont 2004. *Modne bzdury. O nadużywaniu pojęć z zakresu nauk ścisłych przez postmodernistycznych intelektualistów*, Warszawa: Prószyński i S-ka.
- Soros, G. 1996. *Alchemia finansów*, Kraków: Wyd. Znak.
- Scruton, R. 2000. *Przewodnik po filozofii dla inteligentnych*, Warszawa: PWN.